



## Dwie Dorotki - J.Porazińska

Daleko stąd, daleko... za górą wysoką, za rzeką szeroką była wioska, a w tej wiosce biała chata, a w tej chacie mieszkał kmieć Pazurek z żoną Pazurkową. I były w chacie dwie Dorotki. Jedna była córką starego, druga córką starej; z pierwszej żony, z pierwszego męża. Mówi raz stara do starego:

— I moja Dorota, i twoja Dorota. Żeby nam się nie myliło, będziemy wołali na twoją „sierota”, a na moją „córeczka”. Markotno się staremu zrobiło, ale że żona była kłótniwa, hałaśnica, to dla świętego spokoju powiada:

— Niechże będzie i tak. No i tak zostało. Pazurek dobry był dla córeczki, ale Pazurkową nie była dobra dla sieroty. Co najcięższą robotę na pasierbicę spycha i jeszcze dogaduje: — A pośpieszaj, niecnoto, uwiń mi się z robotą. Do swej córeczki zasię mówi: — Spocznij sobie, poleż sobie, ja za ciebie wszystko zrobię. I tak z jednej Doroty rośnie pracowitka, z drugiej Doroty rośnie leń. Jedna wszystko zrobić potrafi i robi ochotnie, drugiej wszystko i za ciężko, i za niemilo. A tej sierotce o każdej chwili nie schodzi z myśli jej matusia, jej rodzona. Plewi w polu len... a ten len teraz kwitnie niebieściutko, jakby kawałek zaoblócznego nieba spłynął z góry i od miedzy do miedzy smugą się położył... tak sierota, co spojrzy na ten len kwitnący, to sobie myśli: „Musi matusia takie bławe oczy mieli”. Żnie w polu sierpem dojrzałą pszenicę, to myśli sobie: „Złociste ci to pole, złociste, jakby je szczyrymi dukatami nabił. Musi matusia takie włosy, taką złotą główkę mieli”. I te myśli o zmarłej matce ku dobremu sierotkę kierują. Ujrzy starą babkę, jak chrust w płachcie z lasu dźwiga, a pod ciężarem przygina się, to myśli sobie:

„Jakby to matusia widzieli, toby pewnikiem tej babce pomogli. To i ja jej pomogę!” Widzi, że dziecko siedzi na środku gościńca i w piasku się babrze, a tu stado krów idzie z pastwiska — to sobie myśli: „Jakby matusia to widzieli, toby przecie dziecko złapali i sąsiadce odnieśli, bo je tu krowy mogą pobóść! To i ja tego babraka sąsiadce odniosę”. I tak, komu może, przysługę wyświadcza, do każdego się uśmiechnie, dla każdego ma dobre słowo. Toteż wszystkim sierotka jest miła, cała wieś ją chwali. A córeczka Pazurkowej na każdego wilkiem patrzy, każdemu niechętnie odpowiada. To i nikt jej nie lubi. Nastala zima. Spadły wielkie śniegi, przyszły lute mrozy, przyszły srogie dujawice. Stały rzeki, zamarzyły jeziora. Świat stał się biały, uciszony, w słońcu iskrzący, o księżycu martwy i bezlitosny. W taki to wieczór księżycowy mówi macocha do sierotki: — Weźże wiadra i naniós ze studni wody do stągwi. A zwijaj się, bo już trza chałupę zawrzeć i iść spać. Wybiega sierotka na dwór, a tu mróz, a tu ślizgawica, że ledwie do studni doszła. Ciągnie wiadro z wodą, a ręce tak jej grabieją, że wcale drąga w garści utrzymać nie może. Nachyla

się, aby uchwycić za wiadro, a tu drewniaki jej się po lodzie obsunęły, a że cembrowina była niska, zważyła się dziewczyna ku głębi i w studnię wpadła! Świecie najmilszy! Aby tylko chodaki po niej przy studni zostały!

Leci, leci w głąb, a w głowie ma taki szum, że ani pojmuje, co się z nią dzieje. I dopiero gdy o dno prasła — ocknęła się. Spojrzała i widzi — jako że księżyc prosto nad studnią wisiał — przed nią drzwi wielkie jak wierzeje przy stodole. Uchwyciła za skobel, pociągnęła... drzwi się otwarły. I sierotka przez próg przeszła. Hej!... Dziwy nad dziwami! Ani tu zimy, ani tu śniegu. Słońce świeci i grzeje, łąki kwitną, ptaki śpiewają.

Weszła na ścieżkę i idzie nią, idzie, a nacudować dość się nie może, jaki tu piękny świat dokoła! Takie zapachy, takie kolory, takie w powietrzu muzyki — że słowo tego nie opowie, pióro tego nie opisze.

Doszła do rozstajów, a tu widzi — grusza stoi, a na niej tyle gruszek, ile gwiazdek na niebie! Ani ich drzewina udźwignąć nie może. Gałęzie zwisły do samej ziemi, pienuszek się pochylił. I tak się grusza skarży:

Doloż moja, ciężka dolo, gałązeczki - ręce bołą.

Bujne wichry nie latają, gruszek ze mnie nie strząsają.

Gałązeczki - ręce bołą. Doloż moja, ciężka dolo!

Skoczyła chyżo Dorotka, zaczęła gruszki obrywać. Rwie, rwie i na trawę składa, wielką ich górę uskładała, drzewinie ulżyła.

Podniosły się gałązki w górę. Leciutko im, wesoło im.

I grusza ludzkim głosem znów mówi:

— Ulżyłaś mi, dobra dziewczynko... ulżyłaś mi. Znów mogę gałązkami kołysać, znów mogę radować się i wesołym szumem szumieć. Nabierz sobie mych gruszek na drogę. Wzięła Dorotka trzy gruszki do fartuszka i poszła dalej.

Doszła do drugich rozstajów. Patrzy, a tu stoi chlebowy piec i tak ludzkim głosem labidzi: Ile kropel płynie rzeką, tyle dni się chleby pieką.

Kto zlituje się, zlituje, chleby ze mnie powyjmuje...

Skoczyła sierotka, piec otworzyła, wszystkie bochenki wygarnęła.

A piec znów ludzkim głosem mówi:

— Dobra dziewczynko, niechaj ci się wszystko w życiu szczęści za to, żeś moje chleby uratowała. A to spaliłyby się na węgiel. Zabierz ich sobie, ile chcesz, na drogę. Wzięła Dorotka bochenek chleba do fartuszka i poszła dalej.

I nadziwić się nie może, że choć gruszki je, choć chleb łamie — zawsze w fartuszkach leżą trzy gruszki i zawsze cały bochenek.

A leciutkie to... ani czuje, że coś niesie.

Idzie, idzie dalej, aż zaszła do jakiejś chaty. Na progu chaty stoi baba o wielkich zębach i tak pyta:

— Dziewczynko, a dokąd wędrujesz?

— A donikąd. Tak se idę i idę i po pięknym świecie popatruję.

— To może być do mnie na służbę przyszła?

— Przyszłabym, ale nie wiem, dam to radę waszej robocie?

— E, dasz radę, dasz, bo u mnie wielkiej pracy nie ma. Sprzątniesz mi izbę, zaściesz łóżko i ugotujesz strawę dla moich domowników. A tych domowników to aby dwóch: kotek i piesek. Roześmiała się sierotka i mówi:

— A toż to przecie żadna robota!

— No, to u mnie ostań. Jak przesłużysz rok, to cię nagrodzę wedle miary i sprawiedliwości. I wrócisz sobie do domu. Weszła sierotka do izby. Czterem kątom się pokłoniła, kotka, pieska pogłaskała i na służbie została.

Co dzień baba o wielkich zębach od rana idzie w świat i nie wraca aż o zachodzie słońca. Co dzień sierotka izbę wysprząta, że się od czystości aż świeci w każdym kątku. Poduchy i pierzyny wietrzy na płocie, a potem tak je strząsa, tak klepie, tak stoszy, że te poduchy i pierzyny pęcznieją, aż się zrobią jak banie. To jak je zacznie na łóżku układać jedno na drugich, to ułoży aż pod samą powałę. Aż musi drabinę do łóżka przystawiać, bo inaczej baba o wielkich zębach na łóżko by nie weszła.

I jedzenie gotuje. Jagły na mleku — przódzi kotkowi całą miseczkę, potem sama poje. Kluski z omastą — przódzi pieskowi całą miskę, potem sama poje. Wraca wieczorem baba o wielkich zębach, a tu w izbie czyściutko jak na gody. Pierzyny poukładane aż pod powałę, kotek na piecu mruży, piesek pod piecem aż sapie, taki najedzony.— Widzę, dziewczuszko, jak gospodarujesz. Ano, minął rok. Ani jednego dnia sierotka nie zaniedbała się, co dzień w izbie jak przed świętem. Kotek i piesek upasione, sierstka na nich gładka, błyszcząca, oczy wesołe. Baba o wielkich zębach woła swych domowników i pyta:— Kotku, piesku, jaką skrzyneczkę dać dziewczynce za pracę? Czarną czy zieloną? „Haw! haw! zieloną!” — szczechnął piesek.

„Miau! miau! zieloną!” — miauknął kotek.

Baba o wielkich zębach wyniosła zieloną skrzynkę, pożegnały się. Znów sierotka czterem kątom pokłoniła się, kotka, pieska pogłaskała i na drogę wyszła. Baba o wielkich zębach za nią i po plecach ją głasnęła.

I tu nagle, co za odmiana!

Już na sierotce nie licha spódniczyna, nie wyłatany kaftanik, ale strój paradny, szumny, że cud! Spódniczka suta w kwiaty, gorsecik aksamitny, koszula cieniutka, haftowana, na głowie jedwabna chusteczka, a buciki węgierskie czerwone i sznurowane! Aniście na obrazku takiej pięknej lali nie widzieli. Oj uradowała się sierotka, uradowała! Podziękowała gospodyni, zieloną skrzyneczkę chwyciła i w drogę! Ale nie uszła ani dziesięciu kroków, jak coś dokoła zahuczało, zaszumiało, wielką wicherzycą powiało, dziewczyną trzy razy obróciło i oto widzi sierotka... Stoi na swym podwórku koło studni, a przed chatą ojciec i macocha, i córeczka przyglądają się, cudują się i rozeznąć

nie mogą, czy to ona, czy nie ona — ta ustrojona panna. Dopiero ku nim podskoczyła, obcaskami zastukała, wszystkich grzecznie przywitała. A potem do samego wieczora opowiadała, gdzie to była, co widziała, jaką służbę miała, co za służbę dostała. Otworzyli zieloną skrzynkę, a tam bogactwa niezliczone, śliczności nie widziane: korale, bursztyny, pierścienie diamentowe, wstążki szczerozłotą nicią haftowane! Rety, reteczki! Poszli spać, ale nikt zasnąć nie może. Stary nie śpi, bo myśli, jakiego by tu męża dla takiej pięknej, takiej bogatej córki znaleźć. Stara nie śpi, bo myśli, jak by tu także śliczności i dla swojej córeczki zdobyć. Córeczka nie śpi, bo ją zazdrość aż po łóżku rzuca; czemu to nie moje! nie moje! A sierotka nie śpi, bo myśli, co z tym bogactwem zrobi. Ojczaszкови kupi ciepły kożuch na zimę i buty z cholewami. I co jeszcze za te skarby? Coś by trzeba takiego, żeby stare babusie nie pracowały nad siły... żeby dzieci nie babrały się po drogach w kurzu... Ale jak by to... jak by to?...Nad ranem dopiero wszyscy zasnęli.

Minęło kilka dni, aż stara mówi do swojej córeczki:

— Musisz i ty w studnię wskoczyć, do baby o wielkich zębach iść na służbę.

— Kiej się boję, mamó.

— Czego się, głupia, boisz? Jeszcze większą skrzynię z bogactwami przyniesiesz! Poszły do studni. Stara córeczkę popchnęła. Dorotka w wodę wpadła, o dno prasnęła i wielkie drzwi przed sobą ujrzała. Pociągnęła za skobel, próg przestąpiła. I wszystko akuratnie tak było, jak i wprzód. Idzie córeczka dróżką, a tu wiosna dokoła, słońce świeci, łąki kwitną, ptaki śpiewają. Doszła do rozstajów, gruszę ujrzała. Na drzewinie gruszek, ile gwiazdek na niebie. Gałęzie zwisły do samej ziemi, pienušek się pochylił. I tak się grusza skarży: Doloż moja, ciężka dolo, gałazeczki - ręce bolą.

Bujne wichry nie latają, gruszek ze mnie nie strząsają.

Gałazeczki - ręce bolą. Doloż moja, ciężka dolo!

Ale córeczkę wcale to nie obeszło. — A niech se tam! — wzruszyła ramionami. Zerwała kilka gruszek do fartuszka i poszła dalej. Idzie, idzie... doszła do drugich rozstajów. Patrzy, a tu stoi chlebowy piec i tak ludzkim głosem labidzi: Ile kropel płynie rzeką, tyle dni się chleby pieką. Kto zlituje się, zlituje, chleby ze mnie powyjmuje... Ale córeczkę wcale to nie obeszło. — A niech se tam! — wzruszyła ramionami. Otworzyła piec, wybrała sobie najpiękniejszy bochen, resztę w piecu zostawiła i poszła dalej. Idzie, idzie... ale jej strasznie ten bochen cięży. — Siądę se, odpocznę i pojem trochę. Usiadła w cieniu, do chleba... a tu widzi, chleb w szczery kamień się zamienił! Do gruszek, a tu widzi... gruszki w pecynki gliny się zamieniły! Jakże to jeść! Wszystko musiała wyrzucić. Podniosła się i poszła dalej... a zła, a głodna! Ale wreszcie doszła do chaty. Przed chatą stoi baba o wielkich zębach i pyta: — Dziewczynko, dokąd wędrujesz? — Tak se idę, służby szukam.

— To może do mnie się zgodzisz?

— Przecie, że się zgodzę — mówi córeczka, bo tę skrzynkę z bogactwami ma myśli. — Robota u mnie niewielka. Izbę sprzątniesz, łóżko zaścielesz, pieska i kotka mi nakarmisz. A jak przesłużysz rok, nagrodzę cię wedle miary i sprawiedliwości. I wrócisz sobie do domu. Weszły do izby. Córeczka kotka ręką odsunęła, pieska nogą odepchnęła. „Niedoczekanie wasze! Nie będę cudzej gadziny oprzątała” — pomyślała sobie. I tylko rozgląda się, gdzie tu stoi ta skrzynia, którą za zasługi dostanie. Baba o wielkich zębach poszła do roboty, a córeczka garnek kaszy sobie ugotowała, najadła się sama, kotkowi i pieskowi nic nie dała, na głodno ich z izby wypędziła i poszła spać.

Wraca wieczorem baba o wielkich zębach, a tu w izbie nic nie zrobione. Łóżko nie zasłane, podłoga nie umieciona, brudny garnek po kaszy na środku izby się wala, kotka ani pieska nie ma, a dziewczyna w ogródku pod jabłonką sobie śpi.

— Widzę, dziewczuszko, jak się sprawujesz... I tak szedł dzień za dniem, tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem. Córeczka tylko o sobie myśli. W izbie śmieci!... aż szura pod nogami. Poduszki i pierzyny zbrukane, a piesek z kotkiem wychudły, zjeżyły się, ogonki im wyłysiały, oczka im sparszywiały. Żywią się same, jak mogą, to w polu, to w lesie. Ano minął rok. Baba o wielkich zębach woła swych domowników i pyta: — Kotku, piesku, jaką skrzyneczkę dać dziewczynie za służbę? Czy zieloną, czy czarną? „Haw! haw! czarną!” — szczeknął piesek. „Miau! miau! czarną!” — miauknął kotek. Baba o wielkich zębach wyniosła czarną skrzynkę, pożegnały się. Córeczka dobrego słowa ani kotkowi, ani pieskowi nie powiedziała, wzięła skrzynkę i wyszła na drogę. Baba o wielkich zębach za nią i po plecach ją głasnęła. Aż tu nagle co się nie stało! Po córeczce od góry do dołu jakasi maź się rozlała... Smoła, nie smoła? Dziewczyna skrzynkę chwyciła i w drogę! Ale nie uszła ani dziesięciu kroków, jak coś dokoła zahuczało, zaszumiało, wielką wicherzycą powiało, dziewczyną trzy razy obróciło i oto widzi córeczka... Stoi na swym podwórku koło studni, a przed chatą ojczym, matka i sierotka. Matka w ręce klasnęła, wielkim głosem krzyknęła: — A gdzieżeś, córeczko, tak się zwałała, gdzieżeś paradny strój podziała?! Chwyciły skrzynkę! Jakie tam bogactwa?!

Otwierają!... A ze skrzynki smyrgu-smyrgu... żaby, ropuchy, węże, jaszczurki... Rozlazło się to po podwórzu, po krzakach pochowało. — Takieś to wiano przyniosła!

Za górą wysoką, za rzeką szeroką wioska, a w tej wiosce biała chata, a w tej chacie muzyczkowie grają, drухenki śpiewają, starościny w ręce klaszczą... Jakież tam gody? Wesele sierotki z kowalczykiem! A macocha z córeczką patrzeć na to nie chciały, w świat poszły i kędyś w wielkim świecie przepadły. Baśniczka miła czy niemiła — już się skończyła.